

ROZDZIAŁ I

Trzeciego lipca późnym popołudniem William i Thomas wraz ze swoimi ukochanymi wylecieli z lotniska w Waszyngtonie w stronę Jamajki. Za sterami samolotu siedział emerytowany pilot w średnim wieku wraz ze swoim synem, których wynajął Williama. Z zewnątrz maszyna nie była zbyt okazała, po prostu przeciętny samolot dla góra piętnastu osób. Jednakże wewnątrz robiło niemałe wrażenie. Samolot był niesymetrycznie podzielony na dwie części. W jednej były typowe siedzenia jak w każdych liniach lotniczych, a w drugiej, większej części był mały bar, telewizor z konsolą do gier oraz stolik, przy którym stała półokrągła bordowa kanapa. Śnieżnobiałe obicia ścian, stonowane kremowe siedzenia oraz błękitne światła led wzdłuż okien świetnie się razem komponowały.

- Już za kilka godzin będziemy się bawić na Jamajce. – zaznaczył radośnie Will.

- Żeby lepiej nam było poczuć klimat puść jakiś przebój Boba Marleya. – zasugerował Tom.

William poszukał w internecie znanych piosenek Marleya i włączył Everything's Gonna Be Alright na pół głośu, żeby można było dalej swobodnie rozmawiać bez przekrzykiwania się.

- O to ja lubię – powiedziała Vanessa. – od razu przypominają mi się moje szczeniące lata i pierwszy skręt, po którym nie wróciłam do domu. To były czasy.

- Może tym razem będzie podobnie – dodał Will

- No już, czuj się. Fajnie było? – zakończyła temat Janet.

Tom słuchając tej rozmowy roześmiał się. – Ale wy się kochacie.

- Wiecie za co ją lubię? – spytał Will.

- Sama jestem ciekawa – odpowiedziała Janet.

- Lubię ją za to, że jest ładna... a kocham za to, że jest przy mnie pomimo tego jak często ją denerwuje. Mało tego. Uwielbiam ją denerwować.

Po odsłuchaniu kilku piosenek wszyscy pasażerowie ucięli sobie drzemkę, zostawiając całą

odpowiedzialność za dotarcie do celu na dwójce pilotów. Co do ich pracy nie można było mieć jakichkolwiek zastrzeżeń. Jednak gdy minęli momentu minięcia Orlando pogoda stopniowo zaczęła się pogarszać. Kontrola lotów nakazała im, aby zmienili kurs na Kubę i polecili dłuższą trasę. Przez ten czas nadchodząca burza miała po prostu przejść i znów miało się wypogodzić. Niestety zmiana kursu nic nie dała. Rozpętała się gigantyczna ulewa i niemal co pół minuty uderzały pioruny. Widoczność zmaląła z piętnastu do pięciu kilometrów. Jeden z głośnych huków postawił na nogi Williama i jego brata. Natychmiast pobiegli do kabiny pilotów, żeby zapytać co się dzieje.

- Na pogodę niestety nie ma rady. – powiedział starszy pilot. - Obawiam się, że będziemy musieli awaryjnie lądować.

- Nie ma mowy! – krzyknął Will. – Dopóki jeszcze coś widać jest szansa, że wylecimy z tej nawałnicy.

- Szanowny panie, proszę pozwolić mi pilotować.

Spojrzeni sobie dogłębnie w oczy, jakby chcieli sobie powiedzieć, że to właśnie on tu ustala zasady. Jednak po krótkiej chwili wyszło na to, że lepiej było słuchać doświadczonego pilota.

- Czemu ten silnik przestał się kręcić? – zapytał zaniepokojony Tom.

- Został przeciążony, musimy natychmiast zejść niżej, bo inaczej będzie po nas. – odpowiedział syn pilota.

- A więc niech tak będzie. – rzekł Will i wyszedł.

Zawołał Janet i Vanesę do przedziału z siedzeniami, po czym kazał im zająć wygodne miejsca i zapiąć się pasami. Niedługo później zrobił to samo ze swoim bratem.

- Myślałem, że załatwiliście sprawny samolot, a nie złom! – powiedziała przestraszona Janet.

- Ja nie patrzę. Niech pilot nas uratuje. – skuliła się Vanessa.

- William chciał porządzić.

- Wystarczy! –przerwał bratu.

Wszyscy trzymali złożone ręce jak do pacierza z nadzieją, że uda się uruchomić drugi silnik. Powoli i nieubłagane spadali w dół. Pilot wysunął podwozie i manewrował maszyną tak, aby nie leciała pod kątem prostym. Kilkaset metrów nad koronami drzew drugi silnik odzyskał moc i zaczął pracować. Pilot nie wyrównywał jednak poziomu, ponieważ mogło to poskutkować rozbiciem się na jednej z gałęzi. Ostrożnie wyszukał miejsca, gdzie rosną mniejsze drzewa i ścinając je wylądował.

- Nikomu nic się nie stało? – Krzyknął pilot ze swojej kabiny.

Pasażerowie byli jak niczym w letargu. Usłyszeli pytanie, lecz nie wiedzieli co odpowiedzieć. Po chwili pilot ponowił pytanie.

- Czy wszystko jest ok.?

- Tak, dziękujemy. – odparł Tom.

Najbardziej ucierpiał kadłub, gdyż w końcowej fazie lotu nie mógł wyrównać poziomu. Na szczęście nikt nie

odniósł poważnych obrażeń. Ze względu na to, iż pogoda nadal nie dawała za wygraną wszyscy zgodnie postanowili zostać w środku i przeczekać ulewę. Po tym jak wszelakie złe emocje opadły zasnęli w swoich fotelach.

...

Jako pierwszy przebudził się Tom. Z powodu zaspania nie od razu zorientował się że nie jest już w samolocie. Nie dochodziło to do niego i pokręcił głową, po czym wstał na równe nogi. Gdy po chwili to gwałtownie otworzył oczy. Zauważył że jest w klatce. Rozejrzał się dookoła siebie i znalazł tylko swojego brata, który leżał w najciemniejszym kącie tej klatki. Klatka mieściła się gdzieś w środku dżungli, stał przy niej postument z lampą naftową na górze, która dawała nieco światła.

Podszedł do Williama i obudził. Przeraził się, ponieważ Wiliam miał strupy na rękach. Po kilku sekundach sprawdził również swoje ręce i zobaczył to

samo. Jego brat nie wiedział co się dzieje wokół niego.
Był mocno oszołomiony.

- Hej, stary– szepnął Tom. - Wiesz gdzie jesteśmy?

- Nie mam pojęcia, może mała podpowiedź?

- Sam nie wiem, ale to na pewno nie jest to twój samolot. Weź się rozbudź to i sam zobaczysz.

- Jak to nie w samolocie?!

Tom uciszył Wiliama i ten natychmiast się ocknął z dziwnego stanu i zauważył że leżał przy kratkach z drewna i bambusa. Spojrzał na rękę swoją i Toma, i ogarnął go niepokój. Szukał w swojej pamięci jak mogło dojść do tego, że się tu znaleźli. Nie wiedział również gdzie są ich żony i pilot samolotu. Choć oczywiście, że bardziej przejmował się kobietami, z którymi mieli spędzić całe życie.

- A gdzie nasze kobiety? – zapytał Will.

- Nie mam pojęcia, ale nie powinniśmy się martwić się na zapas.

- Martwić się na zapas? Nie wiemy gdzie jesteśmy, nie wiemy co będzie z naszymi żonami ,nic nie wiemy! – awanturował się.

- Nic im nie będzie.

- Uczyli cię w wojsku takiego myślenia? – zapytał ironicznie.

- Will, zaufaj mi jak bratu. – odpowiedział, kładąc rękę na jego ramieniu.

Z zewnątrz Tom był spokojny, ale tylko dlatego, żeby nie pogarszać ich złej sytuacji. Panika nie byłaby mile widziana w tym momencie. Wiliam wiedział, że to co jego zbiloby z tropu a jego brata praktycznie nie robiło najmniejszego wrażenia. Podziwiał go za to, a jednocześnie mocno mu to przeszkadzało, ponieważ nie pasowało to do zaistniałej sytuacji.

- Will, musimy obmyślić ucieczkę. Najlepiej będzie górą bo nasze więzienie nie ma zadaszenia.

-Tak? Tylko ja nie jestem koszykarzem.

-Ktoś tu do nas idzie.

Pośród drzew było widać postać, która szła w kierunku braci. Im była bliżej tym była bardziej straszna. Był to Pelayo Montgomery. Przywódca tutejszych piratów. Meksykanin o amerykańskim obywatelstwie. Jego twarz miała sporo blizn, ale nie był wiekowym mężczyzną. Tak na oko miał trzydzieści lat. Podszedł do Wiliama i Toma z uśmiechem na ustach, zastukał w ich klatkę maczetą. Usiadł po turecku w niewielkiej odległości od klatki. Patrzył na nich jak na przyjaciół i czekał aż ktoś z nich zacznie z nim rozmowę, jednak żaden z nich nie miał tyle odwagi by się odezwać.

- Panowie, cóż was tu do nas sprowadza? – spytał.

- Były z nami dwie kobiety, gdzie one są?! – podniósł głos Tom.

- Mówił ci ktoś, że nie odpowiada się pytaniem na pytanie? Nic im nie jest, są w moim obozie.

- Jak tylko coś im zrobisz – rzekł cicho Will.

- Mają lepsze warunki niż wy. Są grzeczne i nietykalne z mojego rozkazu. Chyba, że mam zmienić zdanie.

Obaj milczeli i spoglądali na siebie. Nie wiedzieli czego mają się spodziewać. Jakby nie było był ich wrogiem. O dość dziwnym podejściu do swoich pojmanych.

Zarówno Tom, jak i Will próbowali dociekać w jaki sposób Pelayo zabrał ich z samolotu. William nie miał zbyt czułego snu, ale Tom nie sypiał wiele, więc powinien być wyczulony na różne nagłe zdarzenia. Lata spędzone w wojsku w końcu robią swoje. Niestety Pelayo jakby w ogóle ich nie słuchał. Nucił pod nosem jakąś znaną melodię. Nie wychodziło mu to, więc ograniczył się do rytmicznego podrygiwania.

- Nie powiem wam jak was zabraliśmy, ale macie trzy opcje do wyboru odnośnie swojej przyszłości. Przyłączyć się do nas, być niewolnikami lub umrzeć.

- A jeżeli, żadna z tych opcji nam nie pasuje? – zapytał cynicznie Tom.

- Myślisz o ucieczce? Proszę próbować. Wielu próbowało ale nikomu się to do tej pory nie udało. – odparł Pelayo. – A tak w ogóle to lubię wiedzieć z kim rozmawiam. Ja jestem Pelayo. A wy?

- Ja mam na imię Wiliam. A to mój starszy brat Tom.

- Bardzo mi miło, aczkolwiek szkoda, że poznaliśmy się w takiej, a nie innej sytuacji. No, ale tak musiało być widocznie zapisane. Pewnie masz mnie za wariata, prawda?

- Czytasz mi w myślach. – odpowiedział Tom.

Słyszając to Pelayo cicho się zaśmiał. Wstał i odszedł w kierunku dżungli. Ściął grube zarośla maczetą, wydając przy tym głośny ryk. Obrócił się, schował broń i wrócił do swoich rozmówców. Oparł się ręką o kraty. Był bardzo zdenerwowany.

- To, że nie trzymam z Ameryką to nie znaczy, że jestem szaleńcem. Już wolę być sam niż należeć do tej zgrai ludzi tworzących sztucznie wytworzony naród. Za kilka godzin będzie czwarty lipca. Dzień Niepodległości.

Tylko czyjej niepodległości? O Amerykę wszyscy walczyli, ale z nadzieją na powiększenie swoich ziem. Tylko Europejczycy się dogadali i wszyscy, którzy walczyli zapomnieli o swojej prawdziwej ojczyźnie i nazwali się Amerykanami.

-Tak - powiedział znudzony Wiliam- Też chodziliśmy do szkoły i się uczyliśmy historii kiedyś. Choć ty nieco inaczej ją postrzegasz.

-Ty już się może nie odzywaj. – szepnął Tom.

- Jeszcze nie skończyłem! – wydarł się. –
Pomyślcie, czym jest naród amerykański? To zbitka różnych nacji, o różnej kulturze i nazywająca się wielkim narodem. Kim w gruncie rzeczy jest prawdziwy patriota? Obywatel, który ma pracę, płaci podatki, obżera się hamburgerami i bierze udział w wyborach. Czy osoba, która widzi, że z państwem się coś dzieje, nie siedzi beczynnie i robi wszystko by naprawić państwo nie zważając na rządzących?

- I za wszelką cenę? – zapytał Tom.

- Patriota ma dbać o dobro państwa a nie o dobrobyt swój, albo co gorsze osób rządzących. – wytłumaczył – Obowiązkiem obywatela jest obalić władzę, jeśli zagraża dobru ogółu.

- To cytat z konstytucji Stanów Zjednoczonych? – zaciekał się Tom.

Nastąpiła chwila ciszy, Pelayo wstał porzucił się, przeszedł się do dalszych drzew i z powrotem. W końcu oddalił się od nich, nie dodając już ani słowa. Pewnie jeśli się spotkają ponownie to czeka ich kontynuacja rozmowy, a potem będą zależni od jego nastroju.

- Chyba się nie dowiemy już skąd był ten cytat. – powiedział Tom.

- Bardziej ciekaw jestem jak stąd wyjdziemy niż skąd był ten jego cytat. Bo wspinając się po kratkach połamiemy całą konstrukcję i narobimy hałasu.

- Podsadzę cię i tylko ty stąd uciekniesz.

Słyszając to Wiliam poczuł się tak jakby przez to skazał brata na śmierć. Uważał, że on powinien uciekać

bo jako żołnierz lepiej by sobie poradził w takiej sytuacji. Tom jednak był zbyt tęgi aby Will zdołał go podnieść.

Pożegnali się jak na braci przystało i wykonali zamierzony wcześniej plan. Will po cichym opuszczeniu uwięzi był zmotywowany do działania. Niestety po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że zupełnie nie wie gdzie jest. Jakby tego było mało musi obrać kierunek tak, aby nie natknąć się na Pelayo, który jest samozwańczym panem tej wyspy. Musi też uciekać tak aby nie zgubić się lub nie zginąć w dżungli.

- Wrócę po ciebie. Obiecuję ci to.

Pobiegł w głąb dzikich zarośli. Biegł przed siebie, najpierw wolno, a potem najszybciej jak potrafi. Po pięciu minutach zatrzymuje się bo jest przekonany, że przyjął złą taktykę do ucieczki. Biegiem może zwrócić uwagę piratów i dzikich zwierząt. Postanowił więc, że będzie szedł spokojnym krokiem.

-Jestem w środku lasu na wyspie jakiegoś szaleńca. – powiedział w myślach i wziął głęboki wdech.– Nie wiem dokąd idę ale dam radę. Nie mam

wyboru, obiecałem bratu, że po niego wrócę i słowa dotrzymam.